NUMER OBOZOWY

w młodych oczach



CZASOPISMO
MŁODZIEŻY
SZKOLNEJ

Nr 6 (10) WARSZAWA Rok 2

WYD. ORGANIZACJA PRACY OBYWATELSKIEJ MŁODZIEŻY STRAŻ PRZEDNIA

List do przyjaciela na obozie







PRZYJACIELU !!!!!!

Jeśli chcesz wyjechać na obóz — mógłbym Ci radzić, byś w głębokiej swego ducha prostocie nie uświadamiał o tym zbyt późno Rodziców, albowiem w razie nieotrzymania promocji cała impreza misternie przez Ciebie całorocznie przygotowywana może wziąć w łeb. Największą w tym zbożnym przedsięwzięciu pomoc może Ci okazać własna książeczka P. K. O. — najmniej zawodny i najpewniejszy przyjaciel.

Mógłbym Ci radzić, byś nie kupował przypadkiem za te pieniądze plecaka, menażki lub mapnika — ponieważ tego rodzaju szykany mogą się wydać na obozie całkiem zbyteczne z uwagi na to, że zawsze znajdzie się kilku młodych ludzi, których troskliwe mamy i siostry zaopatrzyły w wyżej wymienione przedmioty w kilku egzemplarzach. Ekwipunek obozowy starego wygi składa się często z munduru, kostiumu kąpielowego, ręcznika i szczotki do zębów.

Cóż to bowiem jest obóz? Rzecz cała zaczyna się jak wiadomo od opóźnienia zniżki, od braku trzech kolegów na dworcu itp. Obozem w pospolitym rozumieniu nazywamy zbiorowisko ludzi, którzy wbrew ogólnie przyjętym zwyczajom sypiają pod gołym niebem, spożywają posiłki na deszczu i usiłują upodobnić się jak najbardziej do Dajaków, czy mieszkańców Polinezji: paradują w szczątkowych ubraniach, przypominających bardzo rajskie kostiumy prarodziców, godzinami bezmyślnie wygrzewają się na piasku — z apatii potrafi ich tylko wyrwać dźwięk łopaty walącej o patelnię — sygnał posiłku.

Najbardziej charakterystycznym, masowo wśród obozowiczów występującym zjawiskiem jest biologiczny wstręt do pracy, zwłaszcza do pracy fizycznej. Trafiają się typy, których batem nie zagnałby do roboty, nawet jeśli trzeba okopać własny namiot. A cóż dopiero mówić o pracy „pro publico bono". Obóz streszcza się zatem tylko do picia i spania, oraz pozostawiania w spokoju wszelkich wydrukowanych na maszynie „porządków dnia".

Na obozie, podlewany deszczem, osmalany słońcem rośnie i dojrzewa typ „filozofa życiowego",którego dewizą jest: ekonomiczna i ścisła celowość oraz oszczędność ruchów, pełny (excusez le mot) „bandzioch" i dobry „garaż" na słoneczku. Wszystko inne — furda mosterdzieju i vanitas vanitatum! Filozof ten ze słodyczą, niezachwianym spokojem i flegmą zje Ci obiad, ułoży się w Twym legowisku i jeśliś jął się jakiejś „czarnej" roboty „ideowej", obśmieje Cię przed kolegami dowcipnie i zjadliwie. I tylko w niedzielę przechodzi typ ten do „działania". Prasuje w pocie czoła portki i wypryska na miasteczko smalić cholewy do hożych odświętnych dziewoj.

Tedy taka jest moja prośba do Ciebie, Czytelniku obozowy: gdy typ ten z początkiem obozu zacznie szerzyć swe nauki, zaopiekuj się nim, z koleżkami nad rzekę wyprowadź, na słoneczko, kamyczek co cięższy do szyi uwiąż i buch go w wodę, nicponia: „topienie nygusa obozowego" huczne wypraw a sam z innymi za łopatę, oskard i notes czy książkę! i do godziwej roboty się wprząż, czego Ci życzy

KOLEGA.

w młodych oczach

czasopismo młodzieży szkolnej

Wyd. przez Organizację Pracy Obywatelskiej Młodzieży
STRAŻ PRZEDNIA

Nr. 6 (10) Warszawa, 1 lipca 1938 r. Rok 2

DWIE SPRAWY

Kraj nasz żyje w okresie przemian. Istnieje wiele dziedzin, na które nieomylnie wskazać można, jako na te, w których przemiany zasadnicze dokonać się muszą. Istnieje cały szereg środków, za pomocą których przemiany te mogą się dokonać. Co do wyboru tych dróg, nie ma dziś, niestety, w Polsce zgody. Jedno nie może ulegać wątpliwości. Polska nie stoi w obliczu żadnej gwałtownej przemiany rewolucyjnej. Motyw „godziny za pięć dwunastej", motyw zbliżającego się przełomu czy wstrząsu, który radykalnie przeobrazi życie polskie, może być tematem dziennikarskim różnych mniej lub więcej rozpolitykowanych czasopism, ale nie może być wytyczną żadnego realnego postępowania w społeczeństwie. Polska przeżyła już swój przełom w maju 1926 i swój wstrząs w maju 1935. Głębszych przełomów i wstrząsów w najbliższych latach oczekiwać już chyba nie trzeba. Idzie więc tylko o to, by duch dokonanego przełomu i siła przeżytego wstrząsu żyły i działały nadal i powodowały postęp na ewolucyjnej drodze rozwoju i wzmacniania Polski.

Można dziś sprzeczać się o wybór dróg i metod działania publicznego, nie można już jednak zamykać oczu na fakt, że w pewnych dziedzinach zmiana nastąpić musi. Jest tych dziedzin dość sporo, zarówno społecznych, jak gospodarczych i kulturalnych. Oto skromny przykład: sprawa książki. Przecież my w narodzie o tysiącletniej kulturze stwierdzić dziś musimy, że książka nie jest, tak jak powinna być, powszednim chlebem duchowym każdego obywatela, ale jest „przedmiotem zbytku", trafiającym tylko do rąk wybranych. Albo sprawa motorów. Przecież w epoce rzekomo zmechanizowanej cywilizacji, gdy ambicją człowieka nowoczesnego jest zaprzęganie do pracy silników, my — w ogromnych gromadach nie mamy pojęcia o motorach, nie mamy samochodów, jesteśmy zawstydzającą „piechotą" wśród grupy narodów kulturalnych. Ale to są zagadnienia szczegółowe. I nie można wyolbrzymiać ich roli ponad istotne i rzeczywiste ich znaczenie, nie biorąc pod uwagę zagadnień podstawowych, od których generalnego rozwiązania zależą zmiany w różnych dziedzinach życia. Ale — w tym właśnie sęk. Gdzie szukać problemów podstawowych życia polskiego?

Toczy się u nas spór i o to, podobnie jak o metody i środki działania. I — „nie ma zgody mocium panie" — każdy wskazuje na inną sprawę, jako sprawą główną dla narodu w jego obecnej chwili dziejowej. Jedni wskazują na żydów, inni na wieś, jeszcze inni na miasto, proletariat i kapitał, na totalizm i demokrację, na liberalizm i arystokrację itd. itd. Warto natomiast stwierdzić, że stoimy już dziś wobec niewątpliwej zgody w ocenie, kto jest naszym sprzymierzeńcem a kto wrogiem. Całe społeczeństwo uznało, że jedynym sprzymierzeńcem jest

dobry karabin, czołg i armata, wrogiem głównym — komunizm i każdy postronny nieprzyjaciel, który chciałby nastąpić na nasze ziemie.

Ta zgoda jest już olbrzymim krokiem naprzód i stwarza realne możliwości konsolidacji ogólnonarodowej. Ale pamiętajmy, że jest to tylko k r o k, my zaś musimy wykonywać ogromne s k o k i, by doścignąć państwa, od których oddzieliła nas stuletnia niewola. Uzbroić technicznie naród — nie wahajmy się powiedzieć — to mało, trzeba broń dać w dobre ręce, a tymi rękami muszą być w s z y s t k i e d ł o n i e w n a r o d z i e. Jest to zatem sprawa wychowania z każdego obywatela — dobrego żołnierza. Sprawa człowieka w Polsce. Wyposażyć państwo w broń, armaty i czołgi — też mało. Trzeba jeszcze benzyny, pocisków, aprowizacji, przemysłu itp. Jesteśmy narodem, żyjącym na wojennym szlaku. Musimy ten szlak nietylko najeżyć milionami bagnetów, ale również podbudować go g o s p o d a r c z o. Sprawą główną jest zatem dla nas w y c h o w a n i e n o w e g o t y p u P o l a k a i r o z w ó j g o s p o d a r k i n a r o d o w e j, wzbogacającej w czasie pokoju, przysposabiającej do wojny.

Wychowanie, rozwój gospodarczy — zgoda, na to godzą się bez zastrzeżeń wszyscy. Lecz według jakiego programu? Rzućmy to pytanie, a podniesie się w górę milion palców, wskazujących w różnych kierunkach. Wśród rozgardiaszu kierunków spora ilość palców wskaże na sprawę żydowską, spora ilość — na sprawę wsi. Zatrzymajmy się na razie przy tych zagadnieniach.

Szerzy się w Polsce przeświadczenie, że główną sprawą rozwoju Polski jest rozwiązanie kwestii żydowskiej. Że jedną z głównych spraw — zgoda. Że sprawą jedyną — trudno w sposób rozsądny i spokojny się na to zgodzić. A tymczasem spotyka się takie właśnie poglądy: że wystarczy tylko rozwiązać sprawę żydowską, a cała reszta i gospodarka i obrona i wychowanie—pójdą jak z płatka. Nie trzeba uzasadniać jak szkodliwy jest taki „judeocentryzm" i jaki brak wiary w siłę i wartość narodu polskiego pod nim się kryje. Kto w żydostwie polskim upatruje źródło w s z e l k i e g o zła, jest mimowolnym... „czcicielem diabła". Uznaje jego wyższość i potęgę, boi się go i modli się o to, by ten zły duch sobie poszedł. Nie wierzy w własne, d o b r e siły, wierzy w cudze z ł e. Taki człowiek, taka grupa nie jest zdolna w ł a s n y m i siłami zwalczyć c u d z e j potęgi. Przesada w ocenie siły i roli gospodarczej tej mniejszości w Polsce jest szkodliwa. Przedstawienie żyda w postaci szatana jest nie tylko niesmaczne ale pociąga za sobą zgubne skutki w wychowywaniu pomnożycieli polskiego stanu posiadania. „Nie taki diabeł straszny, jak go maluje" np. „Samoobrona narodu". O wiele straszniejszy jest popłoch, jaki szerzy tym wśród swych czytelników. Nic dziwnego, że wystraszeni, niezdolni są potem do pracy gospodarczej, że wolą chwytać za drągi, cepy i żyletki. Powtórzmy zatem, że w tej dziedzinie nie należy wyolbrzymiać zagadnienia ponad jego realne i istotne znaczenie.

Musimy wierzyć, że jest w nas siła do stawiania oporu wszystkim przeciwnościom, a zatem i tej, której zresztą lekceważyć nie należy. Poważny, godny i stanowczy program działania gospodarczego jednostek i grup polskich może być w tym wypadku jedyną siłą zwycięską.

———oOo———

Inna sprawa — wieś polska. Posiada ona również swój program ekskluzywny i maksymalny. Ideą tego programu jest „Polska ludowa". My, ludzie z miast, nie dziwmy się ludowcom. Gdy jakaś gromada kmieca, co żywi całe miasteczka i straciła synów na polach walki w r. 1920, huknie się w piersi i powie: „My som potęgą"—nie ma serca polskiego, które nie zabije mocno ze wzruszenia i radości. Ale gdy jakiś inteligent, mieszczuch z pra—pra „dziada" trwożliwie z miasta spogląda na wieś, widząc w niej źródło wszelkiego dobra i jak ów dekadent z noweli Prusa szepcze z samopogardą: „My już tacy", to coś tu wyraźnie nie jest w porządku. Bo jakże? Nie pozostaje mu nic innego, „zgniłemu inteligentowi", jak iść i... „zlikwidować" się. Jeśli patrzy z pogardą na siebie i z zachwytem na chłopa, to nie jest potrzebny nikomu, ani wsi, ani miastu, przypomina tylko „pana młodego" z „Wesela", co we fraku i boso chodził na wieś w konkury. Taki pogląd na sprawę wsi, z którym można spotkać się dziś czasem wśród młodej inteligencji zawodowej z miasta, jest groźnym objawem dekadencji, z której nic dobrego ani dla wsi, ani dla miasta wyniknąć nie może. Należy również do tej serii schorzeń ideologicznych, spowodowanych wyolbrzymieniem roli niektórych problemów życia polskiego, ponad ich istotne i realne znaczenie, jest przejawem chorobliwego poczucia małowartościowości.

Młoda inteligencja miast — pisaliśmy już o tym — musi walczyć z tendencjami przeobrażenia się w kastę społeczną, musi walić taranem w mury dzielące ją od wsi. Musi uczyć się żyć na wsi, współdziałać z nią i pracować dla niej. Ale skazywać się z góry na rolę bezwartościowych ciurów w „pochodzie wsi" ku miastu—to nic innego, tylko wstyd. Wstyd tym większy, że inteligencja ta przy wartościowym samorozwoju może i ma obowiązek przede wszystkim wsi — w jej trudzie dorastania do swej roli w państwie — p o m ó c.

polityka w młodych oczach

Józef Walczewski

CZECHOSŁOWACJA W OPAŁACH

*(Dalszy ciąg *).*

Zmiana sytuacji.

Optymistyczne rachuby Pragi co do jej zewnętrznej sytuacji politycznej nie były bezpodstawne. A jednak tkwił w nich zasadniczy polityczny błąd. Były one bowiem słuszne w przestrzeni, lecz nie w czasie. W chwili gdy Niemcy — nie mówiąc już o Węgrach — były pokonane i bezsilne, gdy swą wolę Europie dyktowała zwycięska Ententa— wówczas jej „pupilek" — Czechosłowacja — mogła się czuć bezpieczna i swobodna w ruchach, zwłaszcza, że wytworzony przez zwycięzców system zbiorowego bezpieczeństwa zdawał się gwarantować status quo na nieograniczony przeciąg czasu.

A tymczasem zmiany przyszły dosyć szybko. Anglia, nie chcąc dopuścić do hegemonii Francji, popierała żądania Niemiec, które szybciej, niż się tego spodziewano, poczęły dźwigać się z upadku. Rewizjonizmowi niemieckiemu szły w sukurs pokrzywdzone przy podziale „łupów wojennych" Włochy. Jednocześnie zaś Francja zastosowała swą genialną politykę ustępstw, udzielanych zresztą zawsze za późno a nie zawsze z własnej kieszeni z naiwną wiarą, że rychło zaspokoi żądania Niemiec i zyska nowe gwarancje bezpieczeństwa i pokoju. Ale żądania te wciąż rosły.

Stopniowa odbudowa siły Niemiec zaniepokoiła Pragę, tym więcej, że Berlin coraz natarczywiej oglądał się za łakomym kęskiem austriackim. Pierwsze próby „Anschlussu" zakończyły się jednak niepowodzeniem Niemiec, przy czym w energicznej wówczas kontrakcji mocarstw prym wodziły Włochy, To utwierdzało Czechów w przekonaniu, że Anschluss zawsze znajdzie dość silnych przeciwników, no i że system zbiorowego bezpieczeństwa działa zupełnie sprawnie.

Mniemanie to było złudne. System ów poczynał się kruszyć, na budowli ucieleśniającej ten system Ligi Narodów ,powstawały coraz większe rysy. Wojna w Ameryce Płd., na Dalekim Wschodzie, a zwłaszcza w Abisynii — wykazała zupełną bezsilność Genewy, nawet w wypadku puszczenia w ruch całego mechanizmu „sankcji". Załamywała się ta „konwencjonalna struktura życia międzynarodowego", o której mówił Marszałek Piłsudski do min. Becka, wskazując mu, że fikcja ustępuje miejsca realnym czynnikom z siłą na czele i że do zmiany tej należy być przygotowanym.

Czechosłowacja do takiej zmiany przygotowana nie była. Dojście Hitlera do władzy i — wkrótce potem — wystąpienie Niemiec z Ligi Narodów było dla niej sygnałem ostrzegawczym, na który zareagowała niebawem zawarciem (obok Francji) paktu wzajemnej pomocy z Sowietami. Wynikiem tego paktu było zresztą ścisłe poddanie się Pragi wpływom Moskwy i uczynienie z Czechosłowacji głównej centrali akcji „Kominternu" na całą Europę Środkową *). Ale możliwości pomocy wojskowej ze strony Rosji stoją pod znakiem zapytania, tak ze względu na wewnętrzną sytuację ZSRR, jak i z powodu braku wspólnej granicy obu państw. Ani zaś Polska, ani Rumunia żadnych wojsk obcych przez swe terytorium przepuszczać — rzecz prosta — nie mają zamiaru.

Pakt z Sowietami niewielką więc dał Czechosłowacji korzyść. A w sprawie Austrii przeliczyła się ona bardzo dotkliwie.

Anschluss lub Habsburgowie.

Bo zmiana sytuacji europejskiej i wzrost siły Niemiec wskazywały wyraźnie, że do utrzymania niepodległości Austrii nie wystarczą papierowe granice. Hitler szeregiem faktów dokonanych odbudował silną armię, obsadził zbrojnie strefę zdemilitaryzowaną Nadrenii, słowem zmazał jedne po drugich ograniczenia Wersalu, zwiększając coraz bardziej nacisk na Austrię. Jasna stała się niemożliwość utrzymania dotychczasowego, przejściowego stanu rzeczy w Wiedniu, który ideowym choćby naciskom Hitlera mógł się poważniej oprzeć tylko pod berłem Habsburga.

Anschluss, lub restauracja Habsburgów, to były dwa możliwe wyjścia z sytuacji.

**) Por. nr. 5 (9) „W Młodych Oczach".*

*) Specjalnie duże nasilenie przybrało tam organizowanie akcji wywrotowej na terenie Polski. Zmusiło to rząd Polski do złożenia w Pradze protestu. Rząd czeski w dniach ostatnich potwierdził fakt istnienia akcji tego rodzaju, obiecując zająć się jej likwidacją. Zobaczymy, jak to będzie w praktyce!...

Zrozumiano to oddawna w Paryżu. I próbowano działać w kierunku ocalenia Austrii przez osadzenie w Wiedniu arcyksięcia Ottona Habsburga. Z sympatią do takiego rozwiązania odniósłby się Rzym. Lecz zdecydowany opór — poza Niemcami — stawiała Mała Ententa.

O ile dla Czechosłowacji najgroźniejszym wyjściem z sytuacji był Anschluss — o tyle Jugosławia największe dla siebie niebezpieczeństwo upatrywała w restauracji Habsburgów, obawiając się, że wskrzeszona monarchia stać się może zbyt silnym magnesem dla niektórych dzielnic jugosławiańskiego państwa. Czechosłowacja początkowo bardzo pewna siebie również nie godziła się na Habsburgów, w ostatnich jednak latach, widząc niekorzystną zmianę sytuacji,gotowa już była się zgodzić, jednak wobec opozycji Jugosławi stanowisko Małej Ententy nie ulegało zmianie, to znaczy nie chciała ona wkroczyć na żadną z dwuch realnie istniejących dróg...

Sprawa przewlekała się tak długo, aż Niemcy wykorzystując pomyślną dla siebie sytuację, zdecydowały się na nowy fakt dokonany. Czesi bezsilnie patrzeć musieli, jak wojska niemieckie zajmują Austrię. Praga nie mogła nawet kiwnąć palcem na znak protestu, mimo iż zdawała sobie sprawę, jakimi następstwami grozi jej wchłonięcie Austrii przez Rzeszę. Bankructwo polityki czeskiej było zupełne.

Czesi próbowali jeszcze robić dobrą minę, zachowując pozorny spokój i wmawiając opinii publicznej, że... właściwie nic się nie zmieniło... Przeczą temu jednak słowa nie kogo innego, lecz samego prezydenta Czechosłowacji p. Benesza, który swego czasu, uzasadniając negatywne stanowisko Pragi wobec Anschlussu, przkonywująco udawadniał, że zajęcie Austrii przez Rzeszę, to nie tylko stałe, niesłychanie groźne, polityczne i wojskowe zagrożenie Czechosłowacji, lecz także uzależnienie jej gospodarcze od Berlina, gdyż na — i przez terytoriym austroniemieckie idzie prawie połowa całego handlu zagranicznego Czechosłowacji.

Niezbyt różowe perspektywy...

Jeżeli spojrzymy teraz na nową mapę Europy — zrozumiemy bez trudu, że aktualne położenie Czechosłowacji nie jest godne pozazdroszczenia. „Czułe objęcia" Niemiec, dalej od południa bynajmniej nie pałające sympatią do Pragi Węgry, od północy znów Polska, wobec której Czesi „chytrą" stosowali politykę... Jedynie niewielki odcinek granicy z Rumunią — to sąsiedztwo z sojusznikiem, który też jednak zbyt się już Pragą nie entuzjazmuje...

— A więc sytuacja rozpaczliwa?

Ale istnieją przecież jeszcze pewne zabezpieczające układy. Tylko, że Jugosławia i Rumunia w żadnym razie nie chcą się angażować w konflikt czesko-niemiecki, Rosja Sowiecka — jak już mówiliśmy — jest bezsilna, a Francja.... Tak, Francja może przyjść Czechosłowacji z pomocą, tylko czy będzie chciała? Ostatnio coraz częściej odzywają się tam głosy, że Francja nie ma właściwie wobec Czechosłowacji żadnych zobowiązań, że nie będzie bić się ona za „błędy polityki p. Benesza".

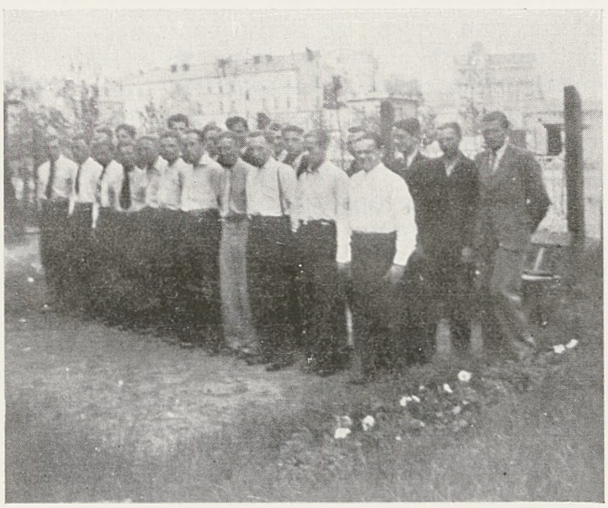
Tymczasem zaś sytuacja wewnętrzno-polityczna nabrzmiewa i zaognia się coraz bardziej. Pamiętać trzeba, że narodowości, zamieszkujące Czechosłowację, są nie tylko silne liczebnie lecz także zajmują zwarte obszary, ciążąc z natury rzeczy do swych macierzystych narodów. Najtrudniej przedstawia się bez wątpienia problem Niemców Sudeckich, których 3½ milionowa, zorganizowana masa stanowi prawie czwartą część całej ludności Czechosłowacji. Niemcy ci domagają się daleko posuniętej autonomii, czując za sobą mocne poparcie całej potęgi wielkiej Rzeszy. Sprawa ta grozi więc nieobliczalnymi konsekwencjami.

Tak więc na wewnątrz, jak i na zewnątrz państwa położenie Czechosłowacji jest wyjątkowo trudne, by nie rzec — rozpaczliwe. Wiele tu zawinili sami Czesi, którzy od chwili powstania swego państwa prowadzili politykę, nie potrafiąc załatwić swych trudnych problemów w sprzyjających dla siebie okolicznościach początkowego okresu, wplątując się za to w ryzykowną grę z Sowietami i Polską, której robiono dywersję, miast szukać u Niej uczciwie współpracy i przyjaźni.

Analiza polityki i obecnej sytuacji państwa czeskosłowackiego nie skłania do zbyt optymistycznych wniosków i przewidywań na przeszłość...



„Straż" lubelska w dn. 2 kwietnia.



Z zawodów strzeleckich o mistrz. „S. P.".



MARIAN PRZEŹDZIK (Kielce).

WIOSNA NIE CZEKA.

Słońce zaczęło już swą codzienną, leniwą żeglugę;
przeszła się wiosna po niebie w srebrnej, z mgieł tkanej opończy,
po cichych polach dalekich rankiem rozpełzły się pługi
i w bruzdach życie posiały nutami pieśni skowrończych.

Po oceanach łąk niebnych białe rozpierzchły się trzody —
o zmierzchu w zachód owczarni pędzi je moja tęsknota...
— kąpią się wtedy w purpurze naprzeciw okna ogrody
i bzów rozkwitłych ulewa odpływa wolno po płotach.

Świat się przez palce przelewa, gdy dłonie w przestrzeń zarzucam
— nie zgarnąć myśli rozsnutych, jak srebrna rosa po łące —
wiosna przepływa po niebie w poszumie żórawich kluczy,
to Tobie i mnie ktoś dzisiaj wiosenny wydzwania koncert...

To tylko mnie, bo Ty już... nad głową szumią Ci brzozy,
ktoś płoszy złote gołębie w niebo, co płynie jak rzeka;
tak, Przyjacielu, nam wiosnę słowiki grały po łozach...
dziś trudno myśli powiązać — a moja wiosna nie czeka.

P O W R O T Y.

M a r y s i   W i ś n i e w s k i e j.

Codzień w błękitnej przestrzeni znaczą się czyjeś powroty,
mnie tylko wciąż samotne w oknach spotyka rano...
— w przeszłość powrócić?... lecz poco?... w fałszywą dłoni pieszczotę?...
nabrzmiałe żalem minuty dzwonią w zegarach spłakanych.

Wiosna oplotła mi duszę dusznym gryzącym majem,
a zmierzch dziś w chłodne wieczory z za horyzontów mnie woła —
gdy bzy pachnące po dłoniach jak łzy po licach spływają,
wiem, że tak wszystko odpłynie — i drogi znaleźć nie zdołam...

Na horyzontach ginących swoją rozpinam tęsknotę,
gdy ktoś w dalekim sercu ślad godzin naszych zaciera —
i wiosna rośnie: bzy kwitną... spóźnione nasze powroty...
dłoniom daleko... słów w zdania już nie powiąże nikt teraz.

Wiosna całuje po oczach mnie zbłąkanego gdzieś w sadzie,
sypią się kwiaty na usta... dlaczego jeszcze tu czekam?
to wtedy było „majowo" — zmierzch nas do domu prowadził;
dziś się modlitwa skończyła — tak mi do Ciebie daleko.

JERZY DEGLER.

H U M O R E S K A.

Wiersz trwał przez całe miasto,
skandowany rytmiką kroków,
spodem ulicą narastał
a górą sięgał obłoków.

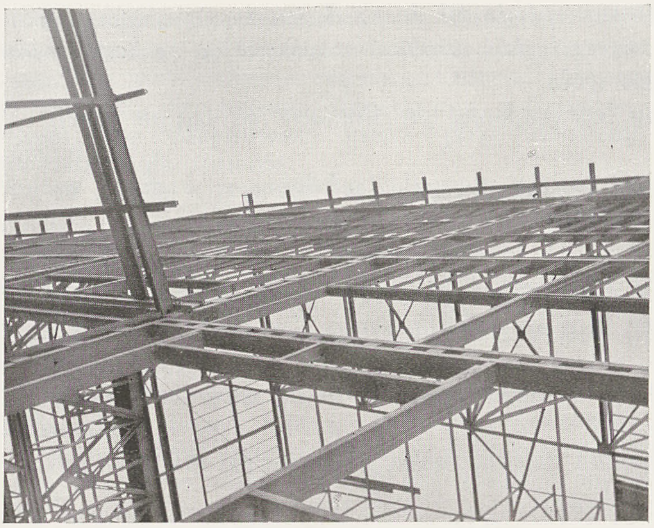
A szedłem gdzie niosły mnie oczy,
bez celu a fanatycznie,
jakiż to szał mnie zamroczył
i kto tak żywił lirycznie?

Nie było sensu żadnego,
w tym niepotrzebnym wspomnieniu,
sam siebie się pytam, dlaczego
goniłem za swoim cieniem.

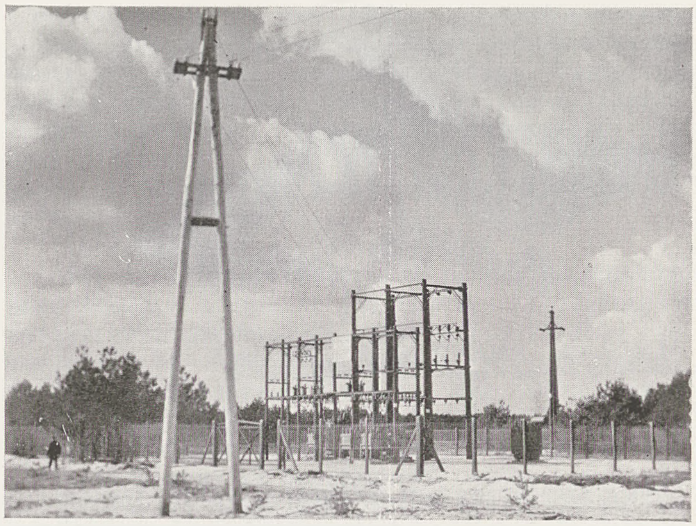
Wiersz trwał przez całe miasto,
skandowany rytmiką kroków,
dołem ulicą narastał,
a górą sięgał obłoków.

Tylko tytułu nie było,
nad tym bolałem najwięcej —
jak nazwać wiersz mój miły —
„najwiosenniejsze scherzo".

I gdy wahało się serce,
czy „Renia" czy też „Alicja",
kres mej położył rozterce —
mandatem karnym — policjant.



Stalowa Wola. Konstrukcja żelazna.



Stalowa Wola. Linie wysokiego napięcia.

Byłem w C.O.P.-ie — piszę, co widziałem...

Stalowa Wola — od Sandomierza, antycznego grodu 45 minut koleją.

Niedziela 15 maja: wycieczka akademicka z Warszawy.

...S T A L O W A   W O L A...

Przed zwiedzeniem garść informacji ogólnych: pierwszą sosnę w lesie otaczającym Zakłady Południowe ścięto 20 marca 1937 roku. Pierwszy transport kolejowy wyładowano następnego dnia. I odtąd bez przerwy codzień ludzie rąbią sosny, kopią pniaki — karczują las; a inni na drugi dzień kopią równe, symetryczne doły: fundamenty. Potym przychodzą monterzy i stawiają w niebo koronkowe przęsła stalowych konstrukcji. Wreszcie murarze, szklarze, stolarze — po kilku tygodniach stoi gotowa do użytku hala, gmach, szkoła, blok mieszkaniowy. Stalowa Wola buduje się w przysłowiowym gdyńskim tempie— za trzy lata będzie liczyła 100.000 mieszkańców.

Z szarych prostopadłościanów cementowych wyrastają proste, nagie pręty stalowych szyn, które dopiero wczoraj przywieziono „jeszcze ciepłe" z hut Śląska lub Zagłębia. Na dwa pionowe, odległe od siebie o trzydzieści metrów słupy stali automatyczny dźwig podnosi i układa równo długą szynę, ustawia ją dokładnie sterowany władczą wolą technika, co zawieszony kilkanaście metrów nad ziemią, kieruje pracami mechanicznych gigantów. Wreszcie szyna leży idealnie poziomo — dwóch spawaczy w potwornych hełmach ochronnych na głowie, w olbrzymich, niezgrabnych rękawicach poza łokcie, oplątanych zwojami kabli wspina się wgórę. Przysiadają na krańcach szyny, włączają kontakty i w białych odpryskach rozpalonych iskier — pracują.

Na dole pod koronkową konstrukcją dachu olbrzymiej trzyhektarowej hali stalowni, w żółtym sandomierskim piasku, wśród opakowań przed chwilą nadesłanych maszyn, złomów ogniotrwałej cegły i stali grzebieniowej, którą zbroi się dachy (od nalotu nieprzyjacielskich bombowców) — wśród całego pozornego „bałaganu" przechadzają się poważnym krokiem kierownicy budowy: rasowe typy byznesmenów — każdemu z nich brak tylko faji w zębach (palenie surowo wzbronione!!! — pod rygorem usunięcia z zakładów) a mógłby występować w amerykańskim filmie. Choć to dopiero połowa maja, wszyscy pracujący przy budowie zakładów są opaleni na brąz — robotnicy pracują przeważnie półnago. Nerwowo biegają monterzy kierujący ustawianiem na fundamentach z betonu olbrzymich obrabiarek. Mimo, że hala stalowni nie ma jeszcze dachu, na dole, prawie w piachu ustawia się gigantyczne młoty, heblarki, sztance, tokarnie, szlifierki — wszystko połączone misterną, jak pajęczyna siecią kabli i zaopatrzone w mnóstwo tablic z napisami; najwięcej z pośród nich ostrzega przed wysokim napięciem.

Takich hal jest kilka: montownia z niezliczoną ilością powietrznych kolejek, zwrotnic, dźwigów i kranów, hartownia z basenem siedmiometrowej głębokości, umieszczonym bezpośrednio pod piecem hartowniczym i pozwalającym na hartowanie przeszło dwudziestometrowych „kawałków", ślusarnia, podzielona na sale pracy poszczególnych brygad....

LUDZIE I MIASTO...

Zetknąłem się bliżej z kilkoma inżynierami, pracującymi już od roku w COPie. Są to najczystszej krwi romantycy. Jeden z nich — p. inż. G..., który przez kilka lat pracował w Detroit u Forda, potem budował Gdynię — pracował na Śląsku — tutaj — w Stalowej „tyra" szesnaście godzin na dobę (dwa razy tyle co zwykły robotnik), o każdym nowym gmachu mówi, jak o własnym dziecku, pieszczotliwie zwraca się do każdego gościa — a przyjechawszy raz na miesiąc do Warszawy, spowiada się przy półczarnej, że ma wyrzuty sumienia z powodu przyjazdu, bo mu tam mogą robotę spatałaszyć. O Ameryce wyraża się z pogardą:

— Tam może jest byznes, ale nie ma tempa. Prawdziwe tempo to było w Gdyni, przy budowie dworca morskiego — a teraz jest tutaj. Niech pan spojrzy — tę prawie pod dach wyciągniętą szkołę powszechną, która zostanie otwarta pierwszego września rozpoczęto budować w zeszłym tygodniu. W Ameryce nikt nie będzie pracował więcej jak osiem godzin. Tutaj chłop chętnie robi szesnaście, bo dawno już nie oglądał pieniądza. Pracuje dużo, bo obawia się, że prędzej czy później straci pracę na rzecz robotnika kwalifikowanego — i tym chętniej garnie się do nauki, mimo, że na nią właściwie nie ma czasu. Uczy się więc raczej praktycznie — pracując po kierunkiem sprowadzonych fachowców. Tego rodzaju robotnik, dotychczasowy małorolny, mieszkający obok zakładów, pomaga nam wydatnie w nadawaniu pracy odpowiedniego tempa, nie stwarzając jednocześnie konkurencji dla robotników wykwalifikowanych...

Budujące się dzisiaj w odległości około półtora kilometra od Zakładów Południowych, miasto Stalowa Wola, ma liczyć 100.000 mieszkańców. Najdalej za dwa, trzy lata. Mimo, że tych mieszkańców narazie nie widać, buduje się w tej chwili, inwestowana przez państwo część miasta: kolonia robotnicza oraz kolonia urzędnicza, budowana z funduszów prywatnych zatrudnionych w Zakładach urzędników.

Stalowa Wola jest chyba najdziwniej budowanym w Polsce miastem: w lesie, między sosnami wytyczono ulice, które wylewa się asfaltem, oddzielonym od betonowych chodników dwumetrowym pasem zieleńca. Obok biegnie tymczasowa kolejka wąskotorawa do przewozu budulca, z którego powstaną wzdłuż tej ulicy wspaniałe gmachy. W tej chwili jest asfalt w lesie, szeroka droga wiodąca nas do kolonii robotniczej. Kolonia składa się narazie z kilku (za rok z kilkudziesięciu) bloków trzy- i czteropiętrowych, złożonych z dwupokojowych komfortowo, z „europejskimi szykanami" urządzonych mieszkań. Jest całkowicie skanalizowana, zelektryfikowana, zgazyfikowana i zradiofonizowana. W Stalowej Woli wybudowano właśnie pierwsze w Polsce domy z wmurowaną siecią radiową — łączącą gniazdka w poszczególnych mieszkaniach z anteną zbiorową i uziemieniem... W pięknym sosnowym lesie, w długich prostych rzędach stoją białe słoneczne, wymarzone przez Żeromskiego domy. Idąc między nimi ścieżyną pełną sypkiego piasku mimowoli przypominam sobie słowa Korzeckiego z „Ludzi bezdomnych".

„Ja muszę zniszczyć te przeklęte nory -- ja nie mogę patrzeć jak żyją i umierają... ci -- od cynku".

COP nie kończy się na Stalowej Woli—na niej się dopiero z a c z y n a: dziś buduje się Dębica, Nisko, Rożnów, Niedomice, Dwikozy — nazwy do niedawna nieznanych miast, stają się symbolami wzrostu naszej ekspansji ekonomicznej. Jednak od tego, co widziałem — do tego, co ma być, droga równie daleka jak od niedzielnej przejażdżki statkiem do Młocin, do uregulowania Wisły.

Jedno możemy skonstatować — droga została wytyczona, ustawiono na niej drogowskazy, pokazano cel i nadano tempo. Start w przyszłość udał się — jaki będzie wynik biegu, to od nas, pokolenia nadchodzącego przede wszystkim zależy...

Czesław Domaradzki.

Urywki...

Ukazała się niedawno niemiecka praca p. t. „Polska i jej gospodarstwo".

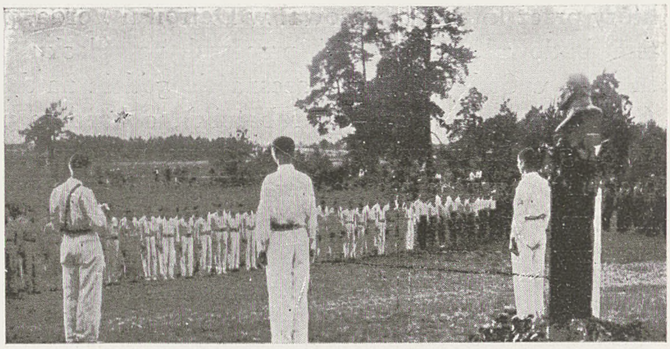
Wydawnictwo to składa się z trzech części: ogólnej, omawiającej historię, obszar, ludność, gospodarkę i życie kulturalne Polski, zestawienia najważniejszych dat z historii Polski wraz z objaśnieniami i z tablic statystycznych do części pierwszej. Ocena naukowa wypada raczej dodatnio i świadczy o dużym wkładzie pracy. Aczkolwiek nie ma tu normalnie przejawiających się w wydawnictwach niemieckich momentów tendencyjnych (czemu w dużej mierze przeszkadza forma pracy naukowej, opartej na ścisłych danych cyfrowych), to jednak i tu mamy do czynienia z świadomą akcją naginania rzeczywistości do założeń polityki niemieckiej. Widzimy to w stałym podkreśleniu, że drogi rozwoju historycznego Polski kierują się na wschód, co jest podkreślone zarówno w części historycznej, jak i omawiającej okres obecny (położenie geopolityczne, polityka narodowa).

Drugim uderzającym faktem jest pomniejszanie Polski przez systematyczne zestawienia porównawcze z mocarstwami europejskimi (Niemcy, Francja, Anglia) w tych dziedzinach, w których jesteśmy opóźnieni (motoryzacja, kolejnictwo, oświata itp.) bez podania warunków, w jakich się to dokonało oraz przez przejaskrawione podkreślanie trudności wewnętrznych Polski (miejszości). Ten drugi moment wiąże się ściśle z pierwszym i naprowadza na wniosek, że Polska nie może pretendować do rzędu mocarstw zachodnio-europejskich, wobec czego powinna skierować swe drogi rozwoju na wschód. Plan „krucjaty" narodowo-socjalistycznej Rosenberga znajduje tu swój pierwiastkowy wyraz, tworzy się bowiem podłoże do niemieckiej konstrukcji politycznej, głoszącej „Drang nach Osten". Szkodliwości szerzenia podobnych poglądów uzasadniać nie potrzeba.

KOLUMNA WSPOMNIEŃ



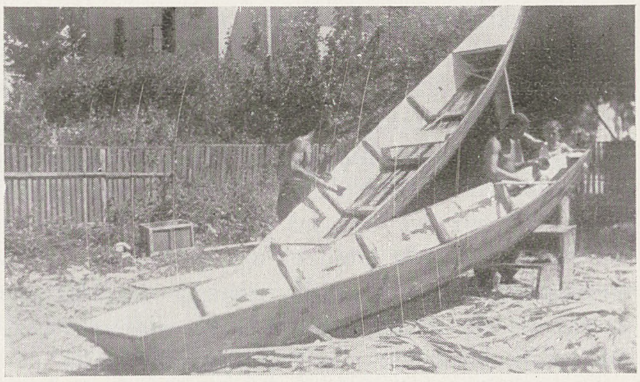
Obozy strażowe: rok 1932, Jordanów.



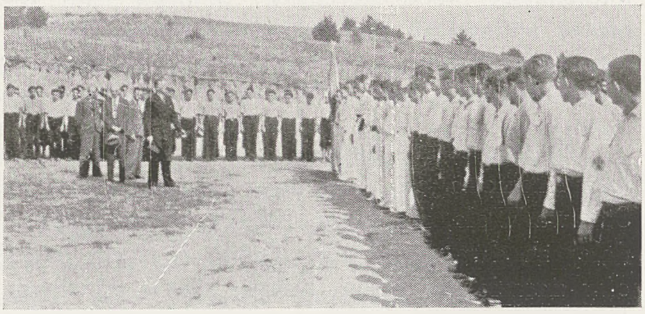
...1934.



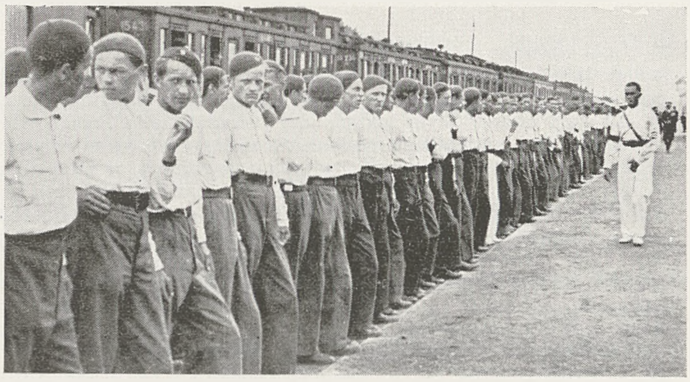
...„Święto Straży Przedniej", 1933, Gdynia.



...1935.



...1936. (Otwarcie Stanicy).



...Kolonie w Gdyni, 1933.



...1937. Na Rossie.

„DOBRE DZIECKO NIE ZAPOMNI O MATCE"

Przypominacie sobie zapewne, przyjaciele, jedną z najpiękniejszych scen Księgi Dżungli, w której mały Mowgli, pamiętny nauk starego Baloo, zwołuje na pomoc bratnie ludu dżungli w ich własnym języku...

Scena ta kojarzy się w mym umyśle drogą bardzo dziwnych asocjacji z działalnością Światowego Związku Polaków z Zagranicy, t. zw. popularnie (od swego telegraficznego skrótu) „Światpolu". W stosunku do Polaków na obczyźnie pełni on rolę opiekuna starego Baloo i z roli tej wywiązuje się znakomicie. Olbrzymi nacisk w swej nader szerokiej działalności kładzie „Światpol" na podstawowy problem: wychowania młodzieży. Ostatnio wydał nakładem własnym książkę Wiktora Ambroziewicza*) omawiającą problemy wychowania młodzieży na obczyźnie tak pod narodowym jak pod pedagogicznym kątem widzenia.

Książka ta jest poświęcona zagadnieniu wychowania i nauki młodzieży polskiej na obczyźnie. Znajdują w niej oświetlenie problemy oświaty zbiorowej: polskiej szkoły i przedszkola, szkoły zawodowej i gimnazjum — oraz wychowania indywidualnego: samouctwa i samokształcenia. Jest ona napisana pod znakiem polskiego elementarza i polskiego katechizmu: wychowania narodowego — opartego na przywiązaniu do ojczystego języka i wychowania religijnego — na fundamencie religji ojców i dziadów.

Jednym z najistotniejszych punktów realizacji polskiego programu wychowawczego zagranicą jest dobór pracowników oświatowych, decydujący o torach i sposobie pracy, o jej wynikach: przyszłości młodych Polaków. Dobry nauczyciel-wychowawca decyduje nietylko o poziomie umysłowym swych uczni—stanowi o ich powołaniu życiowym, daje im rozpęd do brawurowego brania przeszkód na dalszej drodze. Wiemy doskonale, że każdy człowiek, poza swą powinnością zawodową potrafi zdziałać więcej, coś więcej z siebie innym daje, że w jego pracy znajduje się jakieś niewspółmierne dla wszystkich „x" — wartość moralna, która zazwyczaj znajduje ujście w pracy społecznej, a „wyzwolona napina czyn na najwyższe wartości społeczne".

To „x" właśnie decyduje o pracy kapłana, wychowawcy, oświatowca. O pracy, za którą jest odpowiedzialnym nietylko on sam — ale środowisko, w którym działa. Tylko harmonijna współpraca między instruktorem a uczniem, między kapłanem a wiernymi może dać praktyczne rezultaty. Zależą one również w pewnej mierze od środków materialnych—a te od aktywności miejscowego społeczeństwa polskiego.

Drugim elementem pedagogicznym — niemniej niż pierwszy ważnym, jest samowychowanie. Pojęcie, w istocie którego leży praca. „Dlatego też ideologia młodzieży polskiej zagranicą jest ideologia pracy".

Świadomość przynależności narodowej, najświętszej więzi ze „starym krajem" łączącej — języka ojczystego i pełen szacunku stosunek do Państwa, które Naród stworzył — oto naczelne samowychowania postulaty. Natomiast w myśl deklaracji II-go Zj. Polaków z Zagranicy..." uczestnictwo w życiu publicznym państwa zamieszkania winno stać się ambicją każdego Polaka. Zagadnienie metod i form organizacyjnych młodzieży zagranicą sprowadza się do stworzenia „polskiego klimatu" wokół domu-szkoły, stowarzyszeń i współpracy z Ojczyzną.

„Zrównoważą się wtedy dwa twierdzenia:

Dobre dziecko nigdy nie zapomni o matce!
Polska — mój interes osobisty!"

M. J.

---

*) Wiktor Ambroziewicz: Dobre dziecko nie zapomni o matce, „Światpol". — Warszawa — 1938.

Główne bazy wpływów niemieckich na Pomorzu leżą w pasie Noteci i Wisły. Pilnując czujnie swego stanu posiadania w tym rejonie, mniejszość niemiecka usiłuje na innych odcinkach przejść do działania ofensywnego. Usiłowania te objawiają się najczęściej na niezwykle ważnym i czułym odcinku kaszubskim, łączącym Polskę z morzem. Mniejszość niemiecka skupia się tu prawie wyłącznie na wybrzeżu i gminach graniczących z Gdańskiem, którego wpływy gospodarcze i kulturalne na Kaszuby są bardzo silne. W Gdańsku skupiają się nici specyficznej aktywności niemieckiej, mającej na celu zrywanie więzów między szczerze polską i patriotyczną ludnością kaszubską a Macierzą. Z jednej strony mniejszość niemiecka na Kaszubach usiłuje wciągać do swych organizacyj element miejscowy i pozyskiwać dzieci do szkół niemieckich, z drugiej — pewne niemieckie czynniki w Gdańsku, wyzyskując odrębności regionalne kaszubszczyzny, rozwijają propagandę, która ma na celu wpojenie w Kaszubów przekonania, że stanowią oni odrębny naród, mogący się rozwijać tylko w oparciu o kulturę niemiecką. Propagandzie tej — zresztą bezowocnej — patronował zmarły niedawno etnograf-slawista prof. Fryderyk Lorentz i naczelny archiwista gdański dr. Recke. Najwymowniejszym wyrazem tych dążeń niemieckich było czasopismo p. t. Przyjaciel Ludu Kaszubskiego, redagowany pod patronatem dra Lorentza w narzeczu kaszubskim. Reprezentowało ono pseudonaukową teorię tego uczonego o odrębności Kaszubów od narodu polskiego. Ze śmiercią Lorentza czasopismo to, które w ciągu kilku lat istnienia nie mogło zdobyć u Kaszubów najmniejszej nawet liczby abonentów, przestało wychodzić.

Tym niemniej próby dywersji uprawiane w różnych formach nie ustają.

27 GROSZY!

Znany ze swych rewelacyjnych studiów wiejskich „Pingwin" (Państwowy Instytut Naukowy Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach) wydał publikację inż. J. Curtnyka „O położeniu drobnych gospodarstw wiejskich".

Książka ta obfita w bogaty materiał statystyczny, długie kolumny suchych napozór map i cyfry, silniej przemawia do czytelnika niż wstępne artykuły pism codziennych, nawołujących do stawania frontem do wsi. Cyfry dotyczące miniaturowych — od 2 do 10 ha — gospodarstw są zastraszające — a przecież tych gospodarstw mamy jeszcze dzisiaj setki tysięcy. Podajmy dla przykładu trochę liczb, charakteryzujących gospodarstwa 10 — 18 ha, a więc w/g powszechnej opinii wystarczająco wielkie dla utrzymania przeciętnej 6 — 8 -osobowej rodziny. Otóż wydatki w takiej rodzinie po zaspokojeniu potrzeb gospodarskich w roku 1935/36 wyniosły przeciętnie 538.30 zł. I dalej: na jedną osobę przypada produktów żywnościowych za 40.40 zł. z czego na mięso 4 zł., na tłuszcze 5.22 zł. na pieczywo 93 gr., na cukier 5.31 zł. Nie trudno sobie wyobrazić jak wygląda pożywienie w ramach takiego budżetu. I dalej: na opał 6.72 zł. rocznie, na światło 2.14 zł., na odzież 28 zł., na bieliznę 7 zł., na obuwie tylko 12 zł.

Wbrew miejskiemu przekonaniu o zdrowiu ludności wiejskiej, wśród poborowych z zadatkami gruźlicy 72% pochodzi ze wsi — z takich właśnie karłowatych gospodarstw. Jak można się dziwić temu stanowi, gdy na utrzymanie i kształcenie dziecka budżet wiejski przewiduje 27 gr. dziennie — czyli około 100 (stu) złotych rocznie(!!!).

ANDRZEJ MIRSKI.

„Old England" — latem

Tom i Jack, czy też Mary i Violet nie mają właściwie powodu do narzekania na szkołę, że pozbawia ich świeżego powietrza i widoku zieleni na wiosnę i na początku lata. Aczkolwiek ich wakacje zaczynają się znaczniej później niż u nas, dopiero w lipcu, większość dobrze zorganizowanych szkół średnich mieści się nie w dusznych miastach, lecz we własnych rozległych budynkach, położonych w jakiejś ładnej okolicy w pobliżu małego, sennego miasteczka, dla którego ta szkoła jest przeważnie główną atrakcją i źródłem zarobku dla jego mieszkańców.

Są to oczywiście szkoły internatowe. Mają własny ogród, sad, łąki, kawałek lasu, często — farmę, która dostarcza im potrzebnych produktów. Uczniowie tych szkół korzystają w pełni z dobrodziejstw życia na wsi i nauki na świeżym powietrzu. Ale i oni, po opuszczeniu murów szkolnych jadą na wakacje — na wieś.

Tu — właśnie tu, a nie w tętniących pracą wielkich miastach; tu, a nie wśród bogactw i wspaniałości największego miasta świata — Londynu, tu wśród jaskrawo zielonych, zawsze trochę wilgotnych łąk, na pustych białych drogach, w małych cottage'ach o czerwonych dachach — bije równym tętnem wielkie serce Brytyjskiego Imperium.

Wieś jest starsza od miasta.

Napróżno Londyn legitymuje się nazwą Londinium, jako łacińską odmianą celtyckiej nazwy miasta, zajętego przez rzymskie legiony pod dowództwem Juljusza Cezara. Każda wioska,kilkanaście małych schludnych domków zgrupowanych dokoła kościołka o śpiczastej wieżyczce — jest starsza od dumnej stolicy.

Jest nowoczesna — w tym sensie, że korzysta w pełni ze wszystkich zdobyczy kultury i cywilizacji. Jej pola są doskonale uprawne. W hrabstwie Kent sady owocowe ciągną się bez przerwy na długości niezliczonych mil, ustępując czasem miejsca długim polom chmielu.

Ma szkołę — czystą i ciepłą, zaopatrzoną we wszystkie niezbędne pomoce naukowe. Urząd pocztowy. Ma własną bezpłatną czytelnię publiczną — a w każdym razie parafia, do której ta wieś należy ma taką czytelnię, która obsługuje wszystkich, chętnych lektury parafian. I publiczną pralnię. I łaźnie. I dom dla starców. I przytułek dla sierot. Wieś bierze czynny, świadomy udział w wyborach do Parlamentu. Czyta pisma. Chętnie posyła swe dzieci do szkół.

Ale wieś jest stara, jak ziemia, z której wyrosła. I ona — nie miasto — przechowuje w pełni najpiękniejsze tradycje narodu angielskiego.

„Dobra stara Anglia", „wesoła stara Anglia" — mieszkała we wsiach. I po dziś dzień jej duch tam jeszcze mieszka.

Na skrzyżowaniu dróg — pięknych, szerokich, doskonale utrzymanych biegnących w wszystkich kierunkach i mijających spokojne, senne wsie — na skrzyżowaniu dróg, przy niejednej wiosce, stacja benzynowa zdaleka zaprasza automobilistę swym jaskrawo malowanym szyldem. Ale zachowały się jeszcze wsie, gdzie na skrzyżowaniach dróg stoją kuźnie. Takie same (te same?), jak przed setki laty, gdy kuźnia była zalążkiem powstania wsi, a nierzadko i miasta.

Zajazd po dziś dzień jest ważnym punktem w niejednej wsi angielskiej. Za dawnych czasów zajazdy wrzały życiem. Były to bez przesady miejsca spotkań całego kraju, źródła najliczniejszych i najciekawszych (choć niezawsze może prawdziwych) informacyj. Sławne były z dobrej kuchni, dobrych win, wygodnych, czystych noclegów. Każdy, kogo interesuje Anglia, ten dziwny, piękny kraj, niepodobny do żadnego innego kraju świata, w którym wszystko jest odrębne, własne a charakterystyczne — od kuchni do konstytucji — mógł zauważyć rolę, jaką w literaturze angielskiej odgrywa zajazd. Zajazd, który daje chwilę wypoczynku i złudzenie domu tak drogiego sercu Anglika, a który równocześnie jest jednym z etapów w długiej wędrówce po szerokim świecie — drugiej rzeczy, która dla Anglika ma wieczny czar i urok, któremu on nie potrafi się oprzeć. Kolej na przeciąg kilkudziesięciu lat odsunęła zajazdy od udziału w życiu kraju.

Rozwój automobilizmu w ostatnich czasach, przywrócił zajazdom na bardziej ruchliwych arteriach komunikacyjnych cały ich dawny splendor. Cieszą się z wzmożonego ruchu nowoczesne, wygodne, niedawno zbudowane hotele. Dobrotliwie znoszą powstanie garaży w podwórku dawnych zajazdów — mury grubości półtora jarda i więcej, o nielicznych i niewielkich oknach, gdyż był czas, w Anglii, płacono podatek od ilości i wielkości okien. Pomysł na szczęście zapomniany przez urzędy podatkowe wszystkich krajów.

W środku każdej prawie wsi znajduje się duża przestrzeń, porośnięta piękną jedwabistą trawą. Niegdyś odbywały się tu zabawy wiejskie, zebrania i wiece.

Pośrodku wznosi się duży kamienny krzyż na kamiennej, szerokiej podstawie. Tu wędrówni mnisi często wygłaszali kazania. Takie krzyże bywają nieraz starsze od najstarszych kościołów w okolicy, gdyż ludność wiejska nie mogąc się zdobyć na koszt budowy kościoła wznosiła „na tymczasem" kamienny krzyż w środku wsi. Drewniane krzyże jak i drewniane budynki należą w Anglii, szczególnie w północnej okolicy do rzadkości, — kamienia jest poddostatkiem, drzewa znacznie mniej.

Kamienne są również ogrodzenia dzielące pola, a zastępujące nasze polskie miedze. Niski kamienny murek, porośnięty mchem, powojami i bluszczem równiutko przecina pola na ogrodzone kawałki jasno zielone lub ciemno żółte, spięty jak klamrą starannie zamkniętą furtką.

Większość tych ogrodzeń to żywopłot. Żywopłot, kwitnący różami, dostarczający soczystych jeżyn ku uciesze dzieciarni, stanowiący równocześnie ozdobę wsi i satysfakcję właściciela, który, jak każdy Anglik, lubi otoczyć swą własność murem, lubi na każdym kroku podkreślać dla innych i dla siebie, że „jego dom — to jego zamek warowny". Domki wiejskie są malowane na jasne, wesołe kolory. Są zawsze conajmniej piętrowe. Na górze kilka pokoi sypialnych, na dole olbrzymia kuchnia, służąca za salon i pokój stołowy. W wielu takich cottage'ach można znaleźć meble lub naczynia wartości muzealnej.

Przed każdym domem jest ogródek. Byłby to wielki wstyd dla gospodarza, a przede wszystkim dla gospodyni, gdyby ten ogródek nie był przepełniony do ostatnich granic swej przestrzeni kwiatami o jak najjaskrawszych barwach.

Miasta powstały później.

Ci, co zamieszkują miasta, budując drapacze chmur, fabryki, maszyny, tworząc cywilizację, podnosząc kulturę, decydując o losach polityki międzynarodowej i układając prawa — wszyscy, oni sami, lub ich ojcowie — wyszli ze wsi.

Nie zapomnieli o niej. Przysyłają jej, niczym staruszcze—matce upominki—zdobycze swej pracy i wiedzy wielkich miast. Ale sercem, ale duchem, ale tradycją należą do niej i zarówno mąż stanu na urlopie wypoczynkowym, jak chłopiec na wakacjach, znajdują ją zawsze gotową do przyjęcia ich gościnnie i dobrodusznie i do pokrzepienia ich na powrotną drogę duchowym i fizycznym wypoczynkiem i świadomą posiadania najcenniejszego skarbu obecnej Anglii: ładu, zamożności, pracowitości i kultury.

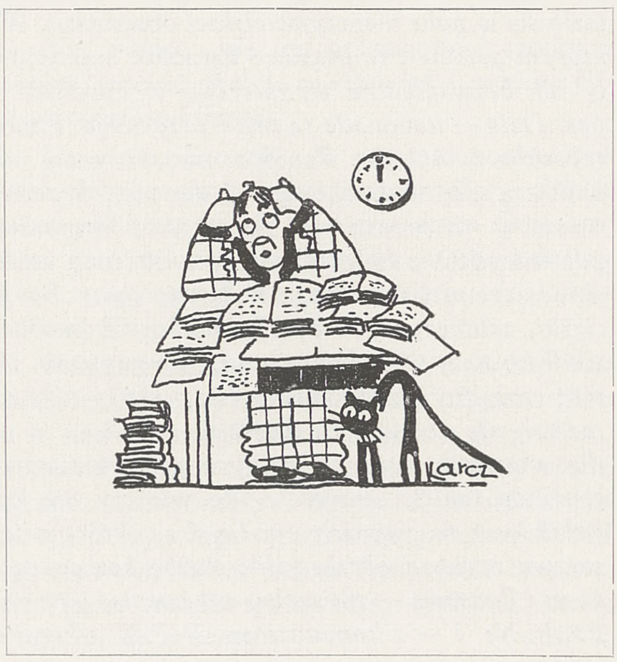
Andrzej Mirski.

Z myśli „filozofa obozowego":

Teraz...



...i za dwa miesiące.



NOWA KADRA

(Reportaż z zawodów strzeleckich o mistrzostwo „Straży Przedniej")

Przyjechali w pierwszy dzień Zielonych Świąt — napełnili lokal Organizacji szmerem i gwarem rozmów i powitań; nie znali się wcale: pierwsza „fachowa" gawęda z referentem strzelectwa o programie zawodów zbliżyła ich między sobą — od tej chwili już wspólne kłopoty: nie znali jeszcze wcale strzelnicy, na której miały być przeprowadzone zawody, nie mieli na niej ani jednego treningu, wielu nie strzelało jeszcze dotychczas z nowych karabinków sportowych typu „5a" o ściętych muszkach. Jak się później, w czasie zawodów okazało, obawy ich były całkiem słuszne, gdyż większość „mistrzów" miało sporo strzałów na poziomej celu... ale poważnie odchylonych w lewo lub w prawo. Tłumaczyli się ściętymi muszkami...

* * *

Pięknie udekorowana strzelnica Klubu Pracowników Min. W. R. i O. P. zrobiła wrażenie na kandydatach na mistrzów: w oczekiwaniu rozpoczęcia zawodów opowiadali sobie wzajem dzieje lokalnych zwycięstw i rekordów, porównywali dzisiejsze zawody z dotychczas odbytymi i... każdy z nich w skrytości ducha marzył o zabraniu z sobą białoczerwonego proporczyka — nagrody dla zwycięzcy. Reprezentanci zwycięskich w mistrzostwach korespondencyjnych zespołów: Brześcia, Jarosławia i Wąbrzeżna chodzili w chwale i dumie, pokazując współzawodnikom plakietę i dyplomy, jakie do swych szkół zabiorą. Oni też byli siebie najpewniejsi, bo tak czy inaczej już mieli zapewnione nagrody.

* * *

Godzina dziesiąta: otwarcie zawodów. Pierwsza piątka ma nienajgorsze strzały próbne — dwie dziesiątki, kilka dziewiątek. Teraz biją serie: dziesięć. Obsługa przybiła tarcze. Druga seria... Następna piątka na stanowiskach. Wszystko idzie w piorunującym tempie: jedna grupa strzela przeciętnie dziesięć do dwunastu minut. Zakończenie: komisja oblicza punkty. Wyniki są nienadzwyczajne — widzą to wszyscy: ale i wszyscy

gadu-gadu

NIEPRZYJACIOŁOM MŁODZIEŻY

Ataki prasowe były, jak wiadomo, chlebem powszednim Straży Przedniej przez sześć lat. W ciągu tego okresu w niektórych dziennikach, będących wyrazem t. zw. opozycji politycznej istniała niemal stała rubryka, z której, jak z dobrze zabezpieczonego karabinu maszynowego prażyło się w Straż Przednią bez litości, ostrzeliwując wszystko, cokolwiek znalazło się w polu nieprzyjacielskiej obserwacji. W mało którym państwie te prasowe karabiny maszynowe były tak bezwzględnie wymierzone w młodzież, jak u nas. Dziś — kanonada ta nieco przycichła. Poprostu — zabrakło amunicji... Rzadkie pociski mają już dziś mniejszą siłę wybuchową niż dawniej. Przecież nikt rozsądny nie przestraszy się już dziś eksplodujących gdzieniegdzie z hukiem bomb, w których zachowało się jeszcze nieco dawnego trującego gazu. Był to gaz ciężki, zabójczy i... o przykrej woni. Z łamów prasy szedł ku nam straszliwy zarzut... komunizmu. Dziś — nikt rozsądny już w to nie uwierzy Dziś — nikt uczciwy już tak nie postąpi. Bo przecież — n i e w o l n o dla własnych korzyści politycznych utożsamiać inną gromadę takich samych, a kto wie czy nie lepszych Polaków, i to gromadę m ł o d ą, która za główną sprawę życiową obrała sobie służbę konkretną Narodowi i Państwu — nie wolno utożsamiać jej z wrogiem Polski Nr. 1 — z komunizmem, P. P. K. i komiternem. Każdy, komu dobro Narodu i jego młodzieży leży na sercu, wzdrygnie się dziś przed takimi metodami walki.

Jeśli więc dziś zarzuty te umilkły zupełnie, nie zawdzięczamy tego łaskawości czy wspaniałomyślności naszych przeciwników. Nie — nastąpiło poprostu otrzeźwienie; wydaje się, że przez prasę przepływa nurt odrodzenia dobrych obyczajów dziennikarskich i obywatelskich. Bo przecież my — trzeba to silnie podkreślić — nie zmieniliśmy się ani na jotę od czasu, gdy Adam Skwarczyński, Pierwszy Prezes Straży Przedniej wskazał jej kierunek rozwoju. Nie byliśmy, nie jesteśmy i nie będziemy nigdy tymi, za których uważały nas nieprzychylne dzienniki. Z każdego etapu naszej historii, pisanej tylko i wyłącznie pracą obywatelską młodzieży mamy dziś prawo być zadowoleni. Dzięki wytrwaniu w trudnych warunkach pierwszego sześciolecia, dzięki wierności naszym założeniom ideowym zdołaliśmy dziś stanąć mocno na nogach i iść nie szukając podparcia, bez obawy, że jakiś z nienacka i ukrycia zadany cios zdoła nas zwalić z nóg.

Mówiliśmy o poprawie obyczajów prasowych wobec nas. A jednak jesteśmy świadkami, jak wobec nowopowstałych związków młodzieży zaczyna się ta sama kampania, którą i my nie tak dawno przeżyliś-

tłomaczą się ściętymi muszkami... Pocieszając się nawzajem, jak mogą.

O pierwszej rozdanie nagród. Wręczają je zawodnikom przedstawiciele Min. W. R. i O. P., Kuratorium i Organizacji. Vice-Prezes Rady Naczelnej Ob. K. Makuch przemawia do uczestników. Wreszcie Naczelnik Ob. M. Witkowski pozdrawia ich — „nową kadrę strzelectwa" w S. P.

Michał Janiak

W. F. i P. W. oraz J. H. P. przygotowują do wojska.

Hasło „naród pod bronią" rzucone niedawno — szybko weszło w stadium realizacji: w dobie zbrojeń i militaryzacji wszystkich odcinków życia państwowego u naszych sąsiadów nie wolno i nam było zostawać przy starych programach szkolenia wojskowego, składających się z dwu zasadniczych elementów: dwuletniej służby czynnej i służby w rezerwie. Programy te stwarzały olbrzymie kadry żołnierzy prawie niewykwalifikowanych, „piechurów bez specjalności", którzy we wszechstronnej wojnie przyszłości w polu znaczyliby niewiele więcej od doraźnie przeszkolonego rekruta. Mimo, że były to kadry dobrych piechurów i wyborowych strzelców, jednak wyszkolenie, jakie otrzymali, było niewspółmierne do współczesnych zadań bojowych — postanowiono stworzyć nową, wyszkoloną, wyspecjalizowaną technicznie armię, któraby bez trudu pokonać mogła najlepiej wyposażonego i najnowocześniejszymi środkami walki operującego przeciwnika. W myśl tych wytycznych ogólnych przekształcono dotychczasowy ramowy program szkolenia, tworząc jako pierwszy etap służby, obok istniejących już hufców Przysp. Wojsk. „ochotniczą służbę pracy". Nie rozwiązuje to jednak całkowicie problemu szkolenia przedpoborowego mającego na celu nauczenie młodzieży wojskowego „abc" tak, by służba wojskowa obejmowała właściwe wyszkolenie specjalne. Kilkanaście tysięcy junaków jest to niewiele wobec milionowych kadr pionierów włoskich czy niemieckich. Najbliższe lata przyniosą i u nas prawdopodobnie przymus służby pracy, który jako końcowy etap trójodcinkowego programu P. W., składającego się z ćwiczeń o charakterze wojskowym, wiadomości teoretycznych i sportu bojowego, rozwiąże całokształt zagadnień przygotowania młodzieży do czynnej służby wojskowej.

Narazie przymus ten obowiązuje w odniesieniu do maturzystów. Pierwsze rezultaty szkolenia pokaże październik — początek roku szkolnego w podchorążówkach — ostatnie zobaczymy niewiadomo kiedy, bo aż... w polu. A do tego narazie daleko...

my. Jak związki te bronią się rozpaczliwie przed insynuacjami „przebijając się przez gąszcz uprzedzeń i wrogich nastawień". Prasa rozpoczęła wobec nich wojnę podjazdową, znów nie przebierając w środkach politycznych. Bogaci w kilkuletnie doświadczenie walki, możemy dziś na to spojrzeć inaczej. Nie chodzi o t. zw. sprawy „ideologiczne". Na dobrą sprawę wszelkie idee, zrodzone dziś w polskich sercach bardziej nas wszystkich łączą niż dzielą. I „narodowcy" i „społecznicy" łatwo dochodzą dziś ze sobą do porozumienia. Łączy ich młodość i jednakie spojrzenie na przeznaczenia naszego Narodu. Dzieli ich natomiast przepaść nie do przebycia od ludzi — s t a r y c h d u c h e m! Konserwatyści — oto ci, którzy z natury swej psychiki pragnęliby zachować bez zmian dzisiejszą naszą rzeczywistość, z którą jest im widać i dobrze i wygodnie — więc wszelkich zmian boją się jak ognia. Któż jest ich wrogiem Nr. 1? Nikt inny, tylko — m ł o d z i e ż, każda młodzież! Bo młodzież jest z natury — r e w o l u c y j n a. Mądrze czy niemądrze, z pożytkiem czy szkodą, pargnie burzyć i budować. Jej nieprzemyślany i niemądry „program polityczny" przypomina treść „Ody do młodości". Nie wiedzą co i jak, ale chcą „nowymi torami" i „nad poziomy" i „społem" itd. A jest to przecież cenny kapitał społeczny, którego nie wolno marnować ani niszczyć i trzeba, by starsi dobrze nim gospodarzyli. A tymczasem konserwatywne, zadowolone warstwy społeczeństwa nie mają do tego najmniejszej ochoty. Uczyniły sobie z młodości straszaka, jest ona dla nich grzechem nie do wybaczenia. I „Odę do młodości" gotowi są nawet pomówić o... bolszewizm. Są one w ogóle nieprzyjazne wszystkiej młodzieży w całej Polsce. Z wyjątkiem tej własnej, najbliższej, której przekażą swe dzisiejsze doczesne dobra. I z wyjątkiem tej, którą dla uśpienia własnych obaw przystrajają w siwe brody, i której każą po starczemu zrzędzić, nudzić zgryźliwie i krytykować każdą nową myśl i inicjatywę.

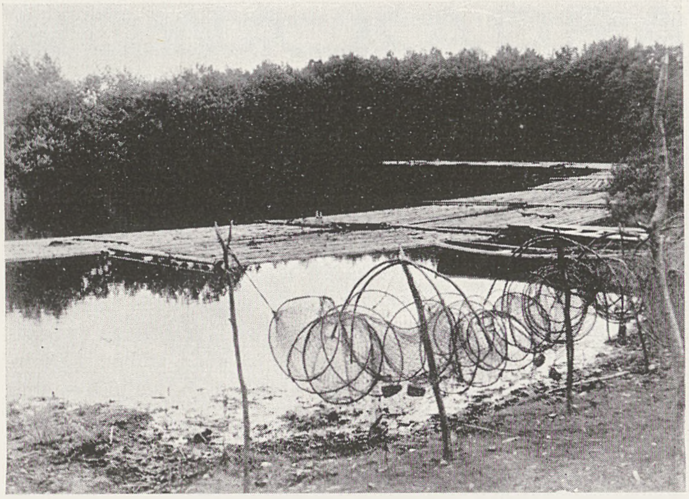
W tym kierunku, w stronę pism zachowawczych, zwracamy się przeto z uprzejmą prośbą:

1. Wolno starszym krytykować młodzież i mówić jej od czasu doczasu: „głupiś", ale trzeba to uzasadnić.

2. Nie wolno, nie jest przyzwoite i zgodne z „bon-tonem" rzucać obelgi, zniesławiać i poniżać bliźniego w opinii publicznej.

3. Uznajcie, proszę, że młodość pozbawiona wszelkich dóbr, a szczerze pragnąca myśleć i działać dla dobra publicznego, nie jest grzechem. Grzechem natomiast jest młodość opływająca w niezasłużone dostatki i mająca przed sobą zapewnioną przez ojców łatwą i wygodną karierę życiową.

4. I jeszcze jedno: młode myśli o Polsce bardziej polskiej, potężnej i sprawiedliwej, niż dziś, choćbyście je nawet nazwali marzeniami, nie są groźne i niebezpieczne dla interesu Państwa, a ci, którzy ośmielają się tak „cudnie marzyć" nie są takimi szkodnikami, jak ci, którzy chcąc ujrzeć wizję potężnej Polski, oglądają się na siebie i za jedyne hasło, jakie bezpiecznie jest rzucać młodzieży, uważają cyniczną, carską radę: „point de reveries".



Podróż kłody drzewa z Polski B...



...do Polski A (Toruń).

STRACHY NA LACHY

Gdy usiadłem nad tą książką*), przyszła mi do głowy nastąpująca myśl: wycieczki. Od początku maja roją się dworce kolejowe tłumem granatowych mundurów — wycieczki szkolne ruszają na podbój wielkiego szlaku. Dziś podbój ten to praca oczu, młodych wszystko widzących oczu, serc, żywych serc, zdolnych pokochać, przywiązać się do raz w życiu krótko widzianych miast, zabytków, form pracy. Bo dzisiaj wycieczka szkolna to nie tylko łażenie krok w krok za przewodnikiem od muzeum do wystawy malarskiej, z katedry do teatru, z kina na cmentarz — wycieczka staje się próbą kontaktu z i n n ą r z e c z y w i s t o ś c i ą, wyjrzenia z opłotków własnego, prowincjonalnego podwórka, — często jest hołdem dla pracy—a jednocześnie poszukiwaniem form pracy po ukończeniu szkoły. Wycieczka przestaje uczyć i zapoznawać — uczy *rozróżniać i oceniać*. Wycieczki dawniej jeździły tylko do: Lwowa, Krakowa, Poznania, Wilna, Warszawy. Dziś — do Gdyni, Porąbki, Rożnowa, Sandomierza.

...Ale teraz o książce.

Ostatnia książka Ksawerego Pruszyńskiego*) jest cyklem dość luźno z sobą związanych reportaży z „najaktualniejszych miejscowości Polski" i obejmuje okres czasu od czerwca 1936 r. po jesień 1938 r. Reportaże pod względem literacko-publicystycznym piękne, żywe ba, nawet po dziś dzień aktualne, skonstruowane pewnie, mocno, napisane ciekawie, w swej budowie treściowej trójpłaszczyznowe — nie ma w nich zlepków „literackich" poglądów na kwestie polityczne, społeczne, gospodarcze, — wszystko jest w porządku, na swoich półkach jak w sklepie ale...

Reportaży jest dwanaście. O piekących w naszym organiźmie państwowym ranach: o Lwowie 1936 r., o Przytyku, o Łodzi — mieście, w którym najsilniej rysuje się podział na czerwonych i zielonych, o Wołyniu, są reportaże z pierwszej linii frontu gospodarczego: z Porąbki — i już! Nic więcej godnego uwagi Pruszyński w swej podróży nie dostrzega — widział „zaniedbanie" kanału Ogińskiego, galerie portretowe w oknach prowincjonalnych Przytyków, oburzał się, że w pasie przygranicznym „rządzi" sierżant K. O. P.-u — i nie podobało mu się to wszystko. Wogóle nie podobała mu się... władza. O prawo do niej nie umie czy nie chce dziś nikt walczyć, łatwiej krytykować niż rządzić — więc Pruszyński krytykuje.. poszukuje plam i dziur i w każdej z płaszczyzn swojej roboty narzeka, kwęka, labiedzi i lamentuje. Cierpi na „kompleks defetyzmu" — na każdym kroku mocno wyimaginowanym sposobem argumentacji usiłuje obniżyć wartość istniejących faktów, nadając zjawiskom 100%-ym dodatnim pod względem gospodarczym, sens społeczny czy polityczny („o wóz i o konia"), lub odwrotnie zjawiska o charakterze społeczno-politycznym usiłuje rozpatrywać z ekonomicznego punktu widzenia („Żółci ludzie z Łodzi"). A najciekawiej oświetla autor sprawę lwowską: stawia tezę zresztą zupełnie słuszną. Lwów zamiera — dawny wielki dworzec przelotowy kupieckich karawan, gasthaus dla Niemców, karawanseraj dla Ormian i dla Greków, miasto, które najintensywniej rozwijało się pod c. k. austriackimi rządami i w 1920 r. bohatersko broniło imienia bastionu Rzeczypospolitej — dzisiaj usycha. „Wyciągnęły się w różne kierunki miasta szlaki ulic jak wysunięte konary drzewa. Konary te nie obrosły w gąszcz nowych gałęzi i odgałęzi". Twierdzi, że Lwów dlatego usycha gospodarczo, bo Lwów to bastion—

*) Ksawery Pruszyński — Podróż po Polsce, Warszawa, Rój 1938.

a mieszkać w twierdzy ludzie się boją... argumentacja swoista, nie pozbawiona pewnych racji — ale... kto się ma we Lwowe budować? Urzędnik jeśli jest zorganizowany, przystąpi tak samo jak w Warszawie czy w Krakowie do budowy spółdzielni, częściej jednak odkłada pieniądze, by po otrzymaniu emerytury przenieść się — do rodzinnej wsi. Robotnicy? Nie ma ich chyba tak wiele we Lwowie — są raczej niewykwalifikowani a dla tych własny dom nie jest nawet marzeniem. Gdzie więc leży klucz zagadki? W strukturze Lwowa — ale nie w strukturze narodowościowej jak chce Pruszyński lecz gospodarczej: powrót do dawnej świetności zależy albo od uprzemysłowienia miasta, albo od stworzenia w nim na wielką skalę centrów eksportu surowców i artykułów przemysłowych z terenów wschodnich i południowych województw Rzeczypospolitej. Narazie robili to „we własnym zakresie" Ukraińcy, — polska inicjatywa prywatna nie boi się zamieszkania na bastionie — boi się pracy w prochowni — a to jest pewna różnica.

Ryzykowną jest rzeczą ściśle rozgraniczać trzy plany spraw: społeczny, polityczny gospodarczy, ale jeszcze ryzykowniejszą starać się rozpatrywać sprawy ekonomiczne pod politycznym kątem widzenia, a polityczne pod społecznym. Bo wtedy nawet „żółci ludzie z Łodzi" mogą się obrazić...

Całość sprawia raczej wrażenie nie podróży, ale błąkania się w poszukiwaniu... ale czego? Przysłowiowych plam na słońcu i dziur w moście — moglibyśmy to jeszcze wspaniałomyślnie wybaczyć — gdyby to była donquichotte'ria, gdyby autor chciał całe słońce na jeden przemalować kolor i wszystkie dziury w mostach łatać. Ale tu jest inaczej: Pruszyński szuka ran, leci do nich zwabiony świeżym zapachem krwi, brzękiem wybitych szyb, masową manifestacją — a potem piórem jak lancetem orze żywe ciało, rozrywa skórę i ściąga, a gdy już się widokiem rany nasycił... zapala nad nią reflektor własnego „obiektywizmu", woła głosem wielkim „patrzcie i wnioskujcie!" i... odchodzi. Odchodzi w inną stronę pozostawiwszy po sobie niemiłe wspomnienie za prawdziwej rzeczywistości. Bo Pruszyński wszystko widzi granatowo, matowo, czarno — ale nie buntowniczo. Jest w nim wiele cichej rezygnacji wiecznego melancholika, jest przyrośnięty uraz psychiczny weltschmerzu „a la minute", krytykowania wszystkiego — już, teraz na gorąco.

I to nam wystarcza — jeśli jednym kryterium autora przy ocenie współczesnej polskiej rzeczywistości jest „nic mi się nie powinno podobać" — z jemu samemu tylko wiadomych powodów — to my, młodzi, pozytywnie do życia nastawieni ludzie przy jaknajdalej idącym obiektywiźmie nie możemy się zgodzić z wnioskami autora...

———oOo———

I znowuż ten sam, co na początku obraz: wycieczki szkolne... i na ich tle — „Podróż po Polsce"... a na tle wycieczek i książki jedno pytanie:

— Poco Ksawery Pruszyński napisał „Podróż po Polsce"?

Michał Janiak.

O TERENOZNAWSTWIE

W roku ubiegłym przybyły nam nowe sprzęty obozowe: busola Bezarda i mapa, szkicownik i lornetka polowa i przybył nowy punkt programu wyszkoleniowego: terenoznawstwo. Również na tegorocznych obozach będzie ono uwzględnione, w znacznie szerszym niż dotychczas zakresie, w programie wyszkolenia PW wszystkich obozów męskich: szkicownik stanie się nieodłącznym towarzyszem naszych wędrówek.

Pójdziemy przez Pomorze, Brasławszczyznę, Podole i Pokucie, przez Lubelszczyznę i Kieleckie z szeroko otwartymi oczami i spoglądając zupełnie inaczej niż dotychczas na mijane po drodze lasy, pola i wsie: dla nas będą one tylko **terenem**. Będziemy starali się o zdefiniowanie jednej tylko rzeczy: czy ten teren jest korzystny czy niekorzystny pod względem militarnym, czy nadaje się do obrony czy do ataku — jaka zeń w poszczególnych wypadkach mogłaby być droga odwrotu i jaki najkorzystniejszy kierunek ewentualnej akcji zaczepnej. Przypomni się nam z młodych lat mistrz „wielkiej gry" Kim dobrego wuja Kiplinga i podobnie jak on będziemy nizać pamięci mijane drogowskazy, napisy, nazwy — te wszystkie rzeczy, które dla **żołnierza** mogą być przydatne.

Wyszkolenie terenoznawcze, jedna z najpoważniejszych gałęzi nauk bojowych nauczy nas nie tylko widzieć i poznawać ale i oceniać. Uzupełni dotychczasowe wiadomości ekonomiczno-społeczne i polityczno-narodowościowe o okolicach i stworzy realne podstawy orientowania się w zagadnieniach ekonomii militarnej czy, jak kto woli, gospodarki obronnej.

Jasnymi staną się wtedy dla nas problemy wzmocnienia zaplecza, budowy w tych, a nie w innych okolicach zakładów przemysłu wojennego czy też wysiewu w pasie nadgranicznym pewnych określonych roślin lub zmiany stanu zadrzewienia.

Wyszkolenie terenoznawcze stanie się jednym z przyczynków do pogłębienia naszej „wiedzy ścisłej" o obronności i pozwoli na omawianie zagadnień, które w wielu wypadkach dotychczas były wielką niewiadomą.

O praktycznych stronach nauki terenoznawstwa pisać nie zamierzam: przecież wszyscy orientujemy się doskonale, jak przydatną jest na wędrówce umiejętność dobrego czytania mapy, orientowania kierunku marszu czy ocen odległości. W powiązaniu z wyszkoleniem strzeleckim i teorią „obrony kraju" nauka terenoznawstwa winna dać podstawa realnego poglądu na militarne stanowisko Polski, jego zalety i wady oraz, w miarę możności, skierować siły ku podniesieniu potencjału obronnego na własnych odcinkach realizacji.

A to nam przecież leży na sercu.

Tadeusz Matheisel

KRONIKA STRAŻOWA

KRONIKA DZIAŁU MĘSKIEGO.

Zawody strzeleckie o mistrzostwo Organizacji.

Dnia 6 czerwca odbyły się w Warszawie na strzelnicy Min. W. R. i O. P. zawody strzeleckie o mistrzostwo Organizacji. Do zawodów zgłoszono 26 uczestników, reprezentujących 11 t. j. wszystkie Okręgi. Pierwsze miejsce i tytuł mistrza Organizacji na rok 38/39 uzyskał ob. Kędras Roman (Tarnów) pkt. 138/200; II-gie ob. Minor Jerzy (Brześć n/Bugiem) — pkt. 134/200; III-cie ob. Scisło Zygmunt (Radom) — 132/200; IV-te ob. Dygasiewicz Jerzy (Wąbrzeźno) — 130/200; V-te ob. Jednak Ryszard (Równe Woł.) — 126/200. Zawody zaszczycili swą obecnością przedstawiciele Dyrektora PUFW, Min. W. R. i O. P., Kuratorium Okr. Szkol. Warsz. i Rady Naczelnej Organizacji. Po zawodach wręczono nagrody zwycięzcom oraz przedstawicielom zespołów, które w korespondencyjnych zawodach ogólnoorganizacyjnych uzyskały najlepsze wyniki.

Wykaz obozów męskich.

W lipcu i sierpniu b. r. zostały zorganizowane obozy męskie Organizacji w następujących miejscowościach: Okr. Śląski — Berezwecz, Okr. Brzeski i Wileński — nad jeź. Strusło, Okr. Łódzki — Konstancjanowo (Brasławszczyzna); okr. poznański — Dźwinogród, Okr. Lwowski — Szeszory, Żurawno, Dźwinogród (Podole—Huculszczyzna). Na Pomorzu obozują: Okr.: Wołyński i Łódzki — w Kartuzach, Pomorski w Zielonej Chocinie, Obwód Tarnowski w Swarzewie. Nad granicą pruską obozować będzie centralny kurs instruktorski dla akademików w Narzyniu i Obóz sportowo-wodny Okr. Warszawskiego w Augustowie. Okr. Lubelski organizuje obóz w Firleju, Okręg Krakowski w Solcu n/Wisłą. Wszystkie powyższe obozy odbędą się w miesiącu lipcu; w sierpniu odbędzie się kurs instruktorski w Stanicy „SP" w Hołówkowie.

Odprawa kierowników zespołów akademickich.

W miesiącu czerwcu odbędzie się w Warszawie odprawa kierowników zespołów akademickich poświęcona omówieniu programu obozu akademickiego. W odprawie wezmą udział ob. ob. kierownicy zespołów z Warszawy, Krakowa, Poznania, Lublina i Lwowa.

Odwołanie obozów zagranicznych.

Naczelnictwo Organizacji w porozumieniu z Min. Spr. Zagr. odwołało mające się odbyć w Rumunii obozy strażowe.

Wizytacje.

W miesiącu czerwcu Nacz. Org. ob. Witkowski zwizytował Okręg Wołyński, przyjmując ślubowanie od siedmiu uczestniczek zespołu w Włodzimierzu Wołyńskim. Poza tym zwizytował Okręg Pomorski i Poznański — omawiając z kadrą program obozów oraz ośrodka morskiego.

Biuletyn Organizacyjny.

Numer biuletynu ukaże się w lipcu i zostanie przesłany na obozy. Numer będzie całkowicie poświęcony metodom pracy obozowej.

6 lat „Straży Przedniej"

W druku znajduje się historia sześciu lat pracy Organizacji, która ukaże się w dniach najbliższych i zostanie rozesłana na obozy celem przepracowania.

KRONIKA ORGANIZACYJNA ŻEŃSKA.

Akcja obozowa odcinka żeńskiego.

W bieżącym roku liczba zgłoszeń na żeńskie obozy znacznie przewyższyła zgłoszenia w ubiegłym roku.

W akcji obozowej biorą udział wszystkie Okręgi. Odbędą się następujące obozy:

1. Hołówkowo, Stanica — Okręg Krakowski, Wołyński, Lwowski i Brzeski, komendantka obozu ob. Nacz. Okr. Krakowskiego M. Habianka.
2. Kiedrowice pow. Chojnicki — Okręg Pomorski. Komendantka obozu Naczelniczka Okr. Pomorskiego Stanisława Zajchowska.
3. Stajki k. Drui — Okr. Łódzki i Lubelski, komendantka obozu Nacz. Okr. Łódzkiego ob. Jadwiga Krasicka.
4. Sianki pow. Turka n/Stryjem — Okręg Wileński i Mazowiecki, komendantka obozu Nacz. Okr. Wileńskiego ob. Helena Obiezierska.
5. Wygiełdowo woj. Łódzkie — pow. wieluński — Okręg Łódzki, komendantka obozu instruktorka okręgowa tegoż Okręgu ob. W. Czabakowa.
6. Wygodka k. Dukszt pow. święciański — Okręg Śląski i Warszawa, komendantka obozu ob. Instruktorka Okr. Śląskiego Leokadia Dehnel.

W obrębie obozu w Kiedrowicach, Wygodce i Wygiełdowie odbędą się kilkonastodniowe wędrówki poszczególnych grup wzdłuż granicy niemieckiej i litewskiej.

Przewidywane są również wędrowne grupy po Brasławszczyźnie. Obozy skupione na Wileńszczyźnie odbędą wspólny zlot w Wilnie i złożą hołd na Rossie.

Obóz kiedrowicki odwiedzi Gdynię i przewędruje część Pomorza.

WYDAWCA IMIENIEM STRAŻY PRZEDNIEJ: BOLESŁAW WASYLEWSKI
REDAGUJE KOMITET SEKRETARZ REDAKCJI: CZESŁAW DOMARADZKI
Zakłady Graficzno-Introligatorskie J. DZIEWULSKI, Warszawa, Mariensztadt 8

BEZ KURZU I BEZ FATYGI

Piętnaście minut autobusem „Lotu" do lotniska na Okęciu: dzisiaj mjr. Makowski — komendant załogi SP-LMK przyjmuje dziennikarzy warszawskich, by podzielić się z nimi wrażeniami i... zdjęciami z lotu Los Angelos—Mexico City—Santiago de Chili—Buenos Aires—Rio de Janeiro—Natal—Dakar — Casablanka — Rzym — Warszawa. Załoga samolotu składała się oprócz mjr. Makowskiego z trzech osób, a to: porucznika pilota Wysiekierskiego, radiooperatora Rzeczewskiego i mechanika p. Piskorza.

— Lot nasz — zaczyna p. mjr. Makowski — wywołał w Ameryce niespodziewane zgoła wrażenie. Mimo, że dziesiątki pilotów przebywa co miesiąc Atlantyk w regularnej komunikacji i nasz lot nie był jakimś specjalnym wyczynem sportowym — przyjmowano nas jak godnych następców Lindbergha. Jak powiadał p. Piskorz „nie było o co tyle gwałtu robić, bo cały lot odbył się bez kurzu i bez fatygi" — mimo tego zainteresowanie lotem było ogromne: wszędzie owacyjnie witała nas kolonia polska — ludzie przyjeżdżali z miejscowości odległych o setki kilometrów, byle tylko zobaczyć polski samolot, dotknąć jego skrzydeł, na których leci się... do Polski.

Wystartowaliśmy z Los Angelos w piątek 13 maja, by po kilkudniowych perypetiach atmosferyczno-radiowych przez Mexico City i Guatemalę dotrzeć do Panamy. Z Guatemali nie braliśmy nawet komunikatu radiowego, gdyż, jak nas poinformowano w Panamie, będzie napewno padał deszcz. I rzeczywiście: w Panamie, gdzie zatrzymaliśmy się aż na cztery dni celem naprawy radia, nie widzieliśmy ani przez minutę rozchmurzonego nieba. Dalsza droga przez Talazę—Limę—Arikę do Santiago de Chili prowadziła nad bezwodnę i bezludną pustynią, na której co kilkaset, a nieraz co tysiąc kilometrów spotykaliśmy jakieś ad hoc powstałe, celem eksploatacji nafty, miasta. Pan Piskorz twierdził, że celem zaludnienia tego kraju wystarczyłoby wylać co kilka kilometrów blaszankę benzyny — a napewno po tygodniu na tych miejscach byłyby miasta. Pomysł jest narazie jeszcze nieopatentowany...

A potem Argentyna i Brazylia: ciąg nieustannych owacji ze strony Polaków, którzy dopiero zagranicą cenią ojczyznę i... całują polski samolot Znowu p. Piskorz stwierdził, że jedyny sposób robienia z Polaków patriotów, to... wysyłania ich za granicę i każdego łzawiącego się na nasz widok zapytywał nader subtelnie: czego ryczysz? Miał on również możność wypowiedzenia swego poglądu na przeloty na większych wysokościach: gdy forsowaliśmy Andy i w pewnym momencie całkiem nieprzyzwoicie rzuciło aparatem, że nagle wszyscy znaleźli się na ścianach — (lecieliśmy bez pasów) p. Piskorz podniósłszy się z ziemi, rozcierając ręką kolano, wygłosił następującą sentencję: „Owszem, w górach ma prawo rzucać — ... tylko nie tak nahalnie".

Z Buenos Aires, zabraliśmy jednodzienną pocztę do Polski i wystartowaliśmy do Rio de Janeiro, gdzie po raz ostatni zrobiliśmy przegląd maszyny: wszystko z wyjątkiem radia było w porządku. Start do Natalu — ostatniego lotniska na ziemi amerykańskiej i... w drodze radio „nawala" nam kompletnie. Ponieważ najbliższa fabryka sprzętu znajduje się 10000 klm. a najbliższy warsztat zamienny o 5000 klm., rezygnujemy z naprawy swojego aparatu. Bez radia nie chcieliśmy lecieć, bo zrobił to swego czasu pięknie mjr. Skarżyński — a my nie chcieliśmy robić gorzej. Wobec tego Air France wypożyczyło nam nieczynny od 10 lat aparat, który stał w hangarze na strychu i z którego po zniesieniu go na świat Boży musieliśmy „elektrolux'em" wypędzać.... pająki. Po czterech dniach montowania przez p. Piskorza tego „nowego" aparatu i próbnych lotach nadmorskich w dniu 2-go czerwca o godzinie 3 rano wystartowaliśmy do przelotu nad Atlantykiem. Startowaliśmy pociemku. Pierwsze pół godziny po wystartowaniu nikt nie przemówił ani słowa. Wreszcie po godzinie lotu, przed świtem nawiązaliśmy łączność z Natalem, gdzie nasze dotychczasowe milczenie przyjmowano jako zły znak. Po półgodzinie łączność z powodu małego zasięgu naszej stacji urwały się. Samolot prowadził teraz robot wykonany przez jedną z firm amerykańskich, któremu po skończeniu lotu wystawiliśmy świadectwo „iż był dokładnym i sumiennym pracownikiem oraz dobrym towarzyszem podróży". — 9 godzin lecieliśmy bez kontaktu z ziemią. Wreszcie zaczęliśmy „szukać pola ziemi": odezwał się Dakar, do którego po półgodzinie dotarliśmy... od strony lądu. Odtąd lot miał charakter normalnego przelotu komunikacyjnego: w pierwszym dniu dotarliśmy do Casablanki, w drugim do Rzymu, w trzecim do Warszawy.

Zapisał Marek Ciszewski.



Nad Andami.

POWRÓT

Wzrok spełznął leniwie po dawno niewidzianych przedmiotach. Po meblach martwych, w białość sztywnych pokrowców zawartych, po oknach, ciężkich barokiem firanek, których wieńce wyszywane czyjąś nieudolną, pracowitą ręką wrzynały się irytująco w pamięć, po rzędach książek w nudnych półkach, okurzonych dniami rozstania, po dywanie, po całej martwocie bezdusznego miejskiego mieszkania. W oczach błysnęło przypomnienie. Świeże, radosne ranem powietrze i zmęczone, szczęśliwe zwycięstwem nad przestrzenią stopy. Gdzieś, hen ze szczytu spojrzenie długie, wesołe w dal, nieznaną, nęcącą, ciekawą. I marsz. Przed siebie. W takt swoich myśli. Naprzód, na-przód, bez koń-ca, w dal, bez ce-lu, w radosnej włóczę-dze...

I teraz skończyło się dziwnie, nieoczekiwanie i obrzydliwie. Skończyło się powrotem. Wszystko się zwykle kończy, ale to było niemożliwe tam, wtedy, na szczycie, że się znów wróci w tę małość, w tę ciasnotę, do tych białych pokrowców na meblach, do tych naiwnych wianuszków na firankach... Powrót — niemożliwe! Z tego szczytu, wówczas wiodła wieczna droga włóczęgi. A jednak. Na drobnym, jasnym pyle dawno froterowanej podłogi odcinały się ordynarnie grube buty, bogactwo i duma włóczęgi. Nie było dla nich miejsca. — I... po chwili wahania pęd do włóczęgi przekreślił całe dotychczasowe życie. — Drzwi trzaśnięte z siłą prochem opadłym zatarły ostatnie ślady intruza. Pokój pogrążył się na nowo w kontemplację swej sztywnej białości. Firanki drgnęły lekko i zafalowały wianuszki, starannie czyjąś dłonią wyszyte.

Po schodach schodził ktoś wielkimi krokami z plecakiem na ramieniu, gwiżdżąc melodię, ptakom na łąkach wczesnym rankiem podsłuchaną. Dudniły głucho ciężkie buty. W kącie warg tkwił wsunięty niedbale papieros sklejony z bibułki.

Renata Ł.

W MŁODYCH OCZACH

CZASOPISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

wyd. przez Organizację Pracy Obywatelskiej Młodzieży

STRAŻ PRZEDNIA



WARUNKI PRENUMERATY

PRENUMERATA ROCZNA ZŁ **3.00**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA ZŁ **1.50**

Cena pojedyńczego numeru 30 gr

NALEŻNOŚĆ WPŁACAĆ PRZEKAZEM ROZRACHUNKOWYM Nr. 275

z zaznaczeniem na odwrocie: pren. „W MŁODYCH OCZACH"

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI

WARSZAWA, ŚWIĘTOKRZYSKA 30, M. 8

Zakłady Graf.-Introligatorskie J. DZIEWULSKI, Warszawa, Mariensztadt 8